

Herta Müller
Sercątko

przełożyła Alicja Buras



Wołowiec 2003

*każdy miał przyjaciela w każdym skrawku chmury
tak po prostu jest z przyjaciółmi kiedy świat jest pełen lęku
także moja matka mówiła to jest zupełnie normalne
przyjaciele nie wchodzi w rachubę
myśl o poważniejszych sprawach*

Gellu Naum

— Kiedy milczymy — powiedział Edgar — stajemy się nieprzyjemni, kiedy mówimy — śmieszni.

Za długo już siedzieliśmy na podłodze nad tymi zdjęciami. Od siedzenia zdrętwiały mi nogi.

Słowami w ustach depczemy tyle, co stopami w trawie. Ale także milczeniem.

Edgar milczał.

Dziś nie mogę jeszcze wyobrazić sobie grobu. Jedynie pasek, okno, orzech i stryczek. Każda śmierć jest dla mnie jak worek.

— Jak ktoś to usłyszy — powiedział Edgar — to uzna cię za wariatkę.

I kiedy myślę o tym, to mam wrażenie, jakby każdy zmarły pozostawiał po sobie worek słów. Przychodzą mi na myśl zawsze fryzjer i nożyczki do paznokci, bo zmarli już ich nie potrzebują. I to, że zmarli nie zgubią już nigdy żadnego guzika.

— Oni czuli może inaczej niż my, że dyktator jest błędem — powiedział Edgar.

Mieli dowód, bo również my sami byliśmy dla siebie błędem. Bo w tym kraju musieliśmy chodzić, jeść, spać i kochać w strachu, aż znowu potrzebowaliśmy fryzjera i nożyczek do paznokci.

— Jeśli ktoś tylko dlatego, że chodzi, je, śpi i kogoś kocha, robi cmentarze — powiedział Edgar — to jest większym błędem od nas. Jest błędem dla wszystkich, powszechnie panującym błędem.

Trawa stoi w głowie. Kiedy mówimy, kosimy ją. Ale także wtedy, kiedy milczymy. A druga, trzecia trawa odrasta, tak jak chce. Mimo to mamy szczęście.

Lola przyjechała z południa kraju i widać było po niej biedę tej okolicy. Po czym, nie wiem, może po kościach policzkowych albo po ustach, albo po samych oczach. To zawsze trudno powiedzieć, o okolicy tak samo trudno jak o twarzy. Każda okolica w kraju była biedna, także na każdej twarzy. Jednak okolica Loli, tak jak widać to było po jej kościach policzkowych, albo po ustach, albo po samych oczach, była chyba jeszcze biedniejsza. Bardziej okolica niż krajobraz.

Susza pożera wszystko, pisze Lola, z wyjątkiem owiec, arbuzów i morw.

Ale to nie suchość okolicy pchnęła Lolę do miasta. To, czego się uczę, jest dla suszy bez znaczenia, pisze Lola w swoim zeszycie. Susza nie dostrzega, ile wiem. Jedynie to, czym jestem, czyli kim. Stać się kimś w mieście, pisze Lola, a po czterech latach wrócić na wieś. Ale nie dołem, zakurzoną drogą, tylko górą, przez gałęzie morw.

Także w mieście stały morwy. Ale nie na zewnątrz, na ulicach. Stały na podwórkach. I to nie na wielu. Tylko na podwórkach starych ludzi stały. A pod drzewami stało meblowe krzesło. Siedzenie miało wyściełane i pokryte aksamitem. Ale aksamit był poplamiony i podarty. A dziura od spodu zatkana

pękiem siana. Od siedzenia siano się zbiło. Zwisало u spodu krzesła jak warkocz.

Kiedy podeszło się bliżej do takiego wysłużonego krzesła, można było dojrzeć w warkoczu poszczególne źdźbła. I to, że kiedyś były zielone.

Na podwórkach z morwami cień padał jak spokój na starą twarz siedzącą na krześle. Jak spokój, bo nieoczekiwanie dla samej siebie wchodziłam na te podwórka i tylko rzadko kiedy powracałam. W tych rzadkich chwilach nitka światła, padającego prosto jak strzełił z wierzchołka drzewa na starą twarz, ukazywała odległą okolicę. Wodziłam po tej nitce wzrokiem w górę i w dół. Dreszcz przechodził mi po plecach, bo ten spokój nie pochodził z morwowych gałęzi, tylko z samotności oczu w twarzy. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył na tych podwórkach. Żeby ktoś zapytał, co tu robię. Nie robiłam nic więcej ponad to, co widziałam. Długo przyglądałam się morwom. A potem, zanim odeszłam, jeszcze raz twarzy siedzącej na krześle. Na tej twarzy była okolica. Widziałam młodego mężczyznę albo młodą kobietę, którzy ją opuszczali, unosząc worek z morwą. Widziałam wiele tych przyniesionych morw na miejskich podwórkach.

W zeszycie Loli przeczytałam później: Co człowiek unosi z okolicy, to nanosi na swoją twarz.

Lola chciała przez cztery lata studiować rosyjski. Egzamin wstępny był łatwy, bo miejsc było dość, na uniwersytecie tyle, ile w szkołach w kraju. A rosyjski był pragnieniem tylko nielicznych. Pragnienia są trudne, pisze Lola, cele są łatwiejsze. Mężczyzna, który coś studiuje, pisze, ma czyste paznokcie. Za cztery lata przyjedzie ze mną, bo ktoś taki wie, że na wsi będzie panem. Że fryzjer przyjdzie do niego do domu i buty zdejmie przed drzwiami. Nigdy więcej

owiec, pisze Lola, nigdy więcej arbuzów, tylko morwy, bo liście mamy wszyscy.

Mały czworokąt jako pokój, jedno okno, sześć dziewcząt, sześć łóżek, pod każdym walizka. Obok drzwi szafa w ścianie, pod sufitem nad drzwiami głośnik. Chóry robotnicze śpiewały z sufitu na ścianę, ze ściany na łóżka, aż nastawała noc. Wtedy cichły jak ulica za oknem i trochę dalej nastroszony park, przez który nikt już nie przechodził. Takich małych czworokątów było po czterdzieści w każdym domu.

Ktoś powiedział, że głośniki widzą i słyszą wszystko, co robimy.

Ubrania sześciu dziewcząt wisiały ciasno stłoczone w szafie. Lola miała najmniej ubrań. Wkładała ubrania wszystkich dziewcząt. Pończochy dziewcząt leżały pod łóżkami w walizkach.

Ktoś zaśpiewał:

Moja mama mówi
że mi da
kiedy wyjdę za mąż
dwadzieścia dużych poduszek
wszystkie pełne komarów
dwadzieścia małych poduszek
wszystkie pełne mrówek
dwadzieścia miękkich poduszek
wszystkie pełne zgniłych liści

a Lola usiadła na podłodze przy łóżku i otworzyła swoją walizkę. Pogrzebała w pończochach i uniosła ku twarzy kłęb poplątanych nóg, palców i pięt. Upuściła pończochy na podłogę. Ręce jej drżały, a oczu miała więcej niż dwoje w twarzy. Jej ręce były puste i miała ich więcej niż dwie w powietrzu.

Prawie tyle samo rąk sterczało w powietrzu, ile par pończoch leżało na ziemi.

Oczy, ręce i pończochy nie znosiły się wzajemnie w piosence śpiewanej ponad dwoma łóżkami. Śpiewanej na stojąco przez małą głowę, która kołysała się ze zmarszczką zmartwienia na czole. W piosence, z której zmarszczka zaraz znowu znikła.

Pod każdym łóżkiem leżała walizka z pozwijanymi w kłębek bawełnianymi pończochami. W całym kraju nazywano je pończochami patentowanymi. Patentowane pończochy dla dziewcząt, które pragnęły rajstop, gładkich i cienkich jak mgiełka. I lakieru do włosów chciały dziewczęta, i tuszu do rzęs, i lakieru do paznokci.

W łóżkach pod poduszkami leżało sześć pudełek z tuszem do rzęs. Sześć dziewcząt pluło do pudełek i mieszało sadzę wykałaczką, póki nie oblepiło jej czarne ciasto. Potem otwierały szeroko oczy. Wykałaczką drapała powiekę, rzęsy robiły się czarne i gęste. Jednak po godzinie pojawiały się na nich szare plamy. Ślina wysychała i sadza opadała na policzki.

Dziewczęta pragnęły sadzy na policzkach, sadzy do rzęs, ale nigdy więcej sadzy z fabryk. Jedynie dużo cienkich jak mgiełka rajstop, bo przecież tak łatwo leciały w nich oczka i trzeba je było łapać na kostkach i udach. Łapać i kleić lakierem do paznokci.

Trudno będzie utrzymać biel koszul tego pana. Będzie moją miłością, jeśli po czterech latach przyjedzie ze mną do tej suszy. Jeśli uda mu się swoimi białymi koszulami olśnić we wsi przechodniów, wtedy będzie moją miłością. I jeśli będzie to pan, do którego fryzjer przychodzi do domu i pod drzwiami zdejmuje buty. Trudno będzie utrzymać biel koszul w tym całym brudzie, po którym skaczą pchły, pisze Lola.